Nr. 48. Rok 13.

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 28. Listopada 1846.

Podróż z Teb do półwyspu Sinai.

(Ciąg dalszy.)

W 3cim dniu naszéj podróży maszerowaliśmy z początku to po małych płaszczyznach piaszczystych, to po ciasnych dolinach, otoczonych górami z piaskowych kamieni, i zatrzymując się nieco przy czytaniu hieroglificznego, greckiego i kufickiego pisma, na skałach wyrytego, jechaliśmy daléj obok staréj stacyi. Około południa zamieniły się żółte dotąd góry z piaskowego kamienia na krwawo-czerwone, i wkrótce po téj przemianie można było widzieć w miejscu kamienia piaskowego plutoniczne masy kamieni, które już wyższe tworzą góry i odarte gdzie niegdzie szychty piaskowego kamienia na grzbiecie swoim noszą. Przechodząc przez jednę z tych dolin, opasaną takiemi czarnemi górami, natrafiliśmy na szeroką, głęboką i dobrze wymurowaną studnię, z któréj dopiero po przebyciu 135 schodów wody gorzkiéj dostać można było; około téjże leżały dwa grubo ciosane z kamienia sarkofagi. W pół godziny przybyliśmy do pierwszego celu naszéj podróży w Wadi-Hammamat — gołębia dolina, tak nazwana dla tego, że się w skałach około niéj znajdujących wiele gołębi gnieździ. Rozłożono obóz i rozbito namiot w jaskini, co się pierwszy i ostatni raz w ciągu naszéj podróży wydarzyło, szczególniéj dla tego, że podróżując już rok 3ci pod tym klimatem, zupełnieśmy się do niego przyzwyczaili; było nam zresztą miléj odpoczywać pod zawsze czystém lazurowém niebem, i patrzeć na tysiące gwiazd z ich błyszczącémi, różnokolorowémi promieniami, jakich na północy wcale nie mamy. Cztery dni zabawiliśmy się w tém miejscu, spędzając czas na kopijowaniu napisów w skałach wyrytych, których było wielkie mnóstwo. Albowiem oprócz hieroglificznych znajdują się również greckie napisy, jako téż i arabskie; w ogóle było ich przeszło 100; są one z wielką pracą w tych gładkich czarnych skałach wykute i bardzo znaczne, gdyż się biało wydają. Wymieniają one nam 42 egipskich rządzców, którzy tu ztąd kamienie sprowadzali do wystawiania rozmaitych monumentów. Od 2500 lat przed naszą rachubą aż do cesarza Domicyana obrabiano te skały, a jednak żadnego uszczerbku w tym pięknym kamieniu dostrzedz nie można. Do téj ciężkiéj roboty zapędzano wielkich zbrodniarzy, jak Herodot opowiada, którzy tutaj dość znaczną utworzyli kolonią; jeszcze po dziś dzień można gdzie niegdzie w téj dolinie napotkać na ich dzikie pomieszkania, w skałach wyrobione. W Wadi-Fanachîr — przedłużeniu Wadi-Hammamatu — widać wśród ruin kolonii również ruiny małéj świątyni Euergetesa I. O dwie godziny podróży ztąd na wschód znajduje się

przez cały rok pomiędzy skałami dobra woda, którą zowią *Bir es Sid.*

W wieczór przed wyjazdem naszym z Hammamat otruliśmy się przy pożywaniu potrawy zaprawionéj z grünszpanem; w skutku tego napadła nas w nocy bezsenność, gorączka i wielkie rznięcie. Resztki téj potrawy zajadali Arabowie na drugi dzień z najlepszym apetytem, i co nas mocno dziwiło, bez żadnych złych skutków. Podobne żołądki jużeśmy dawniéj mieli sposobność poznać, albowiem udzielając jakiemu Egipcyaninowi, albo Nubijczykowi, lekarstwa, trzeba było wziąć podwójną dozis, w przeciwnym razie lekarstwo żadnego nań nie wywarło skutku. Pomimo naszéj choroby, siedzieliśmy na wielbłądach już o godzinie 7. rano 13. Marca i wyruszyliśmy z Hammamat. Zszedłszy z traktu do Kzeir prowadzącego, zwróciliśmy pochód nasz na północ w Wadi-Alla, ażeby przybyć w prostym kierunku na drogę Gebel-Fatîrech, na któréj dotąd żaden jeszcze Europejczyk nie postał. Uderzyła nas wegetacya w dolinach, któreśmy przebywali, napełnionych zielonemi ziołami, krzakami i drzewami, i mnóstwem rumianku, który chciwie nasze wielbłądy pożerały. Zastanowiło nas również szare zwierzę, wielkości kota, nazywane od Arabów Uaber, które się pięło po skałach; byłto Hyrax capiensis, albo Syriacus, jak się późniéj dowiedziałem. Góry w całym naszym widokręgu pokazywały nam się zawsze w najrozmaitszych kolorach i mięszaninach; prawie wszystkie były plutoniczne. Przy Gebâl — liczba mnoga od Gebel — Hamamat przenocowaliśmy.

Nazajutrz przed południem natrafiliśmy na zwaliska staréj osady, któréj mieszkańce zapewne w pobliżu kruszec kopali. Pełno śladów, wiodących z téjże osady, ginie wreście w rozmaitych kierunkach w górach. Jeden z nich stykał się z naszym traktem i prowadził po półgodzinnéj podróży w lewo od Gebel-Djuch, stercząc wyżéj jak 1000 stóp nad wielką płaszczyzną. Jeszcze około wieczora przedstawił się oczom naszym Gebel-Fatîrech, a w trzecim dniu osiągnęliśmy tę imponującą, wysoką górę, któréj wierzchołek w obłokach się gubi; jéj wysokość wynosi 2000 stóp. Rzymianie nazwali ją Mons Claudianus, i brali z niéj wiele białego granitu, który gdzie niegdzie był nakrapiany, że tak powiem, czarnym łupkiem. Leżały tamże 4 kolumny i 4 ołtarze okrągłe, które prawie zupełnie były wykończone; w jednym z nich jest wyryty grecki napis, który oprócz imienia własnego rok 22 wymienia; najdłuższy z tych filarów wynosi 30 stóp i ma 3 stopy i 4 reńskie cale w średnicy. W pobliskości tych skał granitowych leży ważne jakieś miejsce w ruinach. Zatrzymawszy się pół dnia w téj okolicy, wyruszyliśmy około wieczora daléj na północ ku Gebel-Dochân — dymiąca góra — byłto nasz wtóry cel, któryśmy z wielką biedą i nie bez niebezpieczeństwa osiągnąć mieli. Czwarty dzień pochodu z Hammamat był 16. Marca, niedziela; o $6\frac{1}{4}$ rano opuściwszy nasz obóz, jechaliśmy przez 3 kwadranse na równinie, która coraz wyżéj się wznosząc, nagle okropnie się kończyła; byłato spadzista przepaść około 500 stóp. Poznaliśmy, żeśmy zbłądzili. Cóż było począć? albo się wrócić o pół dnia drogi, albo z narażeniem życia zwierząt z góry się spuścić. Zgodzono się na ostatnie przedsięwzięcie. Uwolniono wielbłądy od ciężkich brzemion i sprowadzano je pojedyńczo; rzeczy poznosili ludzie, których do tak cięźkiéj pracy małémi pieniężnémi podarkami zachęcano. Bez straty i wielkiéj szkody wykonaliśmy wreście to tak śmiałe przedsięwzięcie i wypocząwszy 5 godzin, puściliśmy się w dalszą podróż. Professor Lepsius, tłumacz Józef, murzyn Gaben-Mariam i ja wyjechaliśmy, jak zwykle, z przewodnikiem Szech-Selîm naprzód, nic nie przewidując, ażebyśmy najbliższy nocleg wprzód osiągnęli, a tém samém prędzéj spocząć mogli. Jadąc ciągle przez 3 godziny dość szybko, odkryliśmy z wielką radością w północno-wschodniéj stronie Czerwone morze i na półwyspie górę Sinai, nazywaną od przewodnika naszego Gebel-Tur. Wychodząca mgła z morza rozciągnęła się przed nami i zasłaniała nam to piękne pasmo gór tak, żeśmy je tylko słabo rozpoznawać mogli. W krótce potém natrafiliśmy z wielkiém zadziwieniem na 3 zamieszkałe chaty, wybudowane z tyczek, na których słomiane matty wisiały. Wypytywaliśmy się kobiet i dzieci, któreśmy tylko spotkali, o stare budowy. Niechętnie w rozmowę się wdając, opowiedziały nam wreście, że się takowe znajdują w pobliżu; poczém wyprosiliśmy od jednéj kobiety jéj dziesięcioletniego chłopczyka za przewodnika, co nam nie mało robiło trudności, któreśmy jednakże za pomocą pieniędzy usunęli. Ledwo na kilka kroków oddaliliśmy się od chat,

aż matka, nie ufając nam, przybiegła do nas i towarzyszyła nam z swém dzieckiem. W pół godziny doszliśmy, zmierzając ku Gebel-Dochân, do rzymskiéj cytadeli z skalistego granitu, która mocno zbudowana tworzyła czworobok, mający 70 kroków długości i 60 kroków szerokości. Wewnątrz była podzieloną na rozmaite przestrzenie i ukrywała zasypaną studnię. Kilka kroków daléj znajduje się tak nazwana Akropolis. Jestto na osobności stojąca skała, mająca do 40 stóp wysokości, która jest mocnym murem otoczona.

Lecz że miejsce to nie było jeszcze celem dzisiejszéj naszéj podróży, przeto opuściwszy matkę z jéj synem około 5téj godziny, jechaliśmy daléj w kierunku północnym, sądząc, że źródło, do któregośmy śpieszyli, wkrótce osiągniemy. Postępowaliśmy więc za przewodnikiem z ufnością coraz głębiéj w góry. Zachwycający nader obraz widzieliśmy dzisiaj w zachodzącém słońcu, rzucającém jeszcze na ziemię swe błyszczące i czarujące światło, do którego piękności się nie mało przyczyniła starożytna góra, podobna gotyckiemu tumowi z wielu piramidami i wieżyczkami. Równocześnie, jak się różanne światło za góry chyliło, które teraz ciemno-niebieską mgłą się okryły, znikł także kwadrans trwający zmrok i otoczył nas ciemną nocą, która na dzisiaj wcale nam nie była pożądaną, zwłaszcza, że droga stawała się coraz niepewniejszą i uciążliwszą. W prawdzie przyświecał nam księżyc, lecz bardzo często zasłaniały go wysokie góry; wreście znikł nam zupełnie z oczu. Pomimo to, chcąc koniecznie dostać się do źródła, jechaliśmy daléj przez wąwoz utworzony z wielkich prostopadłych skał granitowych, który był tylko 5 kroków szeroki; ścieżka tak była głazem zawalona, iż dość często musieliśmy z wielbłądów schodzić, aby je prowadzić; a co najgorsza, że się ten okropny wąwóz skończył, a źródła widać nie było. Zniechęceni wracaliśmy znów tą samą uciążliwą drogą; kierując się potém podług gwiazd, daléj na północ ujrzeliśmy dolinę na lewo leżącą, do któréjśmy za namową naszego przewodnika, który ją uważał w styczności z naszém źródłem, wielbłądy skierowali. Lecz i dolina się skończyła, a źródła nie było. Wszystkie okropności zbłądzenia stawiły nam się przed oczy, bo sam nawet przewodnik z tą okolicą nie był obeznany. Po krótkiéj naradzie wróciliśmy się znowu i rozłożyliśmy obóz już po godzinie 9téj przy wchodzie do téj doliny, gdzież bowiem mieliśmy szukać źródła lub karawany? Nie mając ani chleba, ani wody, ażeby głód i pragnienie zaspokoić; żadnego przykrycia, aby się zabezpieczyć przed chłodną nocą; położyliśmy się na piasku, i myśląc, że dzień jutrzejszy nas ocali, wkrótce zasnęliśmy. Lecz nie bardzo wzmocnieni obudziliśmy się, a wsiadłszy na wielbłądy, opuściliśmy ze świtem nasz obóz, kierując się ku północy. Jadąc po górach i dolinach, napotkaliśmy starą budowę, przy któréj się wcale nie zatrzymując, zjechaliśmy w lewo w piękną wielką dolinę, skierowaliśmy się potém około rzymskiéj stacyi w prawo, i wyjechawszy z téj wielkiéj doliny, któraby nas za daleko na południe zawiodła, przebyliśmy małą, kamienistą dolinę, prowadzącą na szczyt góry, po któréjśmy prowadząc nasze wielbłądy powoli i nie bez mozołu, w inną dolinę zeszli. W celu naradzenia się, co daléj począć, stanęliśmy. Przewodnik rozumiał, że woda musi się gdzie w bliskości znajdować; chciał zatém pieszo iść jéj szukać i najdaléj w godzinę powrócić. Zgodziliśmy się na to, więc się oddalił o godzinie 9téj. Lecz godzina upłynęła, a przewodnika widać nie było; przeszła druga i trzecia, a on nie powracał. Położenie nasze było okropném. Słońce rzucając swe ogniste promienie prostopadle, paliło nas, skały nie dawały już żadnego cienia, ale za to więcéj gorąca. Ztąd pragnienie coraz więcéj się wzmagało, a nie mieliśmy żadnego widoku, ażeby je zaspokoić. Rozmyślając wiele, coby daléj począć, czy oczekiwać powrotu przewodnika, czy też starać się wynaleść te skały, któreśmy dzień wprzód odwiedzili, co było niebezpieczném i prawie niepodobném do wykonania, zwłaszcza, że nikt z nas dla rozmaitości miejsc, któreśmy przebywali, do nich trafić się nie podejmował; pomimo to zgodziliśmy się na rzecz ostatnią. Natychmiast zwróciliśmy się, dawszy wprzódy znak przewodnikowi kilku wystrzałami z flint, na które jednakże nie przybył. Widząc się znów w wielkiéj dolinie, nabraliśmy wszyscy otuchy, ciesząc się tém, że przecie nas tutaj prędzéj kto z naszéj karawany odszuka, jak w tym ciasnym wąwozie, gdzieśmy 3 godziny zostawali; i nie zawiodła nas nadzieja. Ujechawszy ledwo godzinę drogi, spostrzegliśmy dwóch ludzi, pieszo jednego,

drugiego na wielbłądzie, których zaraz poznaliśmy. Jak miłe było to spotkanie się dla nas, łatwo sobie każdy wystawi; nie tylko nie potrzebowaliśmy mieć obawy o dalsze błądzenie, ale nadto zaspokoiliśmy wodą i chlebami, które nam podano, nasze pragnienie i głód. Arab siedzący na wielbłądzie odjechał spiesznie od nas, ażeby uwiadomić swych towarzyszy o spotkaniu się naszém. Postępując za nim powoli, byliśmy już w pół godziny przy obozie naszéj karawany, zkąd nas głośna radość sług już z daleka dochodziła. Radość była wielka, całowano się i ściskano bez przestanku. Całą przeszłą noc czuwali oni, przebiegli w zdłuż i w szerz całą okolicę, zapalili na pagórkach ogień i powystrzelali wszystek proch. Że obóz jeszcze o dwie godziny był oddalony od źródła, więc wysłano do niego kilku ludzi, ażeby przywieźli wody. Z powrotem przynieśli również naszego przewodnika Szech-Selîma na w pół nieżywego, którego znaleźli leżącego przy źródle bez znaków życia. Instynkt jego zaprowadził go szczęśliwie po kilku godzinach podróży do szukanéj przezeń wody, któréj z chciwością zanadto się napił. Lepsius złorzeczył mu bardzo za jego tak długą nieobecność i odebrał mu godność przewodnika.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Uboga kuzynka.

(Ciąg dalszy.)

Nie długo zaczęły też pojazdy przed dom zachodzić, a hrabiostwo neofici z całą majestatycznością, jak na państwa tylu kosztowności przystało, przyjmowali gości: pokoje zapełniały się coraz bardziéj matkami w atłasach i piórach, córkami w lekkich przezroczystych sukniach, i elegantami, wijącymi się wśród niewieściego grona. Julia za wejściem do salonu wcisnęła się między serwantkę i ścianę, radaby tam siedzieć i skryć się przed wzrokiem wszystkich, lecz jakże to mogła zrobić bez okrycia się śmiesznością? Trzeba było wyjść i usiąść wśród koła kobiet. Tą razą zmieszanie szczęściem dla niéj było, gdyż siedząc z oczami spuszczonemi, nie widziała tych spojrzeń pół-ironicznych, pół-litośnych, zwróconych ku sobie, ani hrabiny wyrazu twarzy, jak przebiegała okiem klejnoty rozwieszone na niéj, a potém wzrokiem dumy powiodła po przytomnych.

I kiedy Julia ośmieliła się nakoniec spojrzeć w około, pierwsze wrażenie już było przeszło i na żadnych ustach śmiechu nie dostrzegła. Lżéj się jéj na sercu zrobiło i jak mogła brała udział do wspólnéj zabawy. A bawiono się u hrabiostwa, jak na każdych wiejskich imieninach. Po śniadaniu grano w karty i większa część gości rozmawiała francuzczyzną złą i dobrą, jaką kto umiał, najwięcéj dla tego, żeby też pokazać, że ich czegoś uczono. Po długim zaś obiedzie zabrano się do tańców, a wtedy hrabina wywołała Julię i rozebrała ze wszystkich klejnotów. Szczęśliwa, lekka, wróciła dziewczyna wśród tańczących i mimowolnie szukała wzrokiem Teodora. On stał za krzesłem swojéj tancerki, prowadząc z nią rozmowę. Mimo tego spostrzegł wchodzącą Julię; ta szczęśliwa z rzuconych pętów, wdzięczna, że ją spostrzegł, uśmiechnęła się do niego — a on zmarszczył czoło i gniewnie ku niéj spojrzał, niby pytając: zkądże ta poufałość? Julii w głowie się zakręciło, nogi pod nią zaczęły się uginać, zebrała ostatek sił i jak zawsze wybiegła z salonu, kiedy serce zbytnią wezbrało boleścią. W pośród wijących się na wszystkie strony sług, spiesznie się przemknęła i biegła ku kamiennéj ławeczce w szpalerze z leszczyny. Tą razą nie uklękła, nie podniosła oczu w niebo, ale upadła na zimne kamienie i załamawszy dłonie, silnie je do skroni przycisnęła. I żadna łza nie popłynęła po licach, żadne westchnienie nie wypadło z piersi, ale leżała nieruchoma. Wiatr jesienny szumiał nad jéj głową i uschłemi liśćmi obsypał jasne włosy, a przelatujące gęste chmury zlekka wilżyły lica i odkryte ręce; — ona tego wszystkiego nie czuła, bo przed jéj duszą stał Teodor, odpowiadający gniewem i wzgardą na jéj uśmiech. Księżyc wyjrzał z po za ciemnych chmur, na chwilę jasném światłem oblał wszystkie przedmioty, i znowu je w ciemności pogrążył — lecz ona ciągle nieporuszona, nie oderwała załamanych dłoni od czoła, nie spojrzała w około i nie widziała Teodora, który przy niéj stanął i wpatrywał się w nią wzrokiem obserwatora — lekarza. Nakoniec ujął jéj dłonie — ona się podniosła, krzyknęła i wysunęła swą rękę z przerażeniem. „Julio, ty mię nie kochasz — ty mnie się lękasz,“ — wy-



Morze czerwone.

rzekł cichym głosem. „Ah! powiedz choć jedno słówko miłości,“ kończył — i znów się zbliżył do niéj i ujął za rękę.

„Pan żądasz wyznania, a wstydzisz się mojéj miłości,“ odrzekła przytłumionym, ledwie dosłyszanym głosem, usiłując usunąć swoją rękę, którą on silnie trzymał.

Znać Teodora nerwy zadrgnęły na chwilkę uczuciem, a to drzenie przeszło i serce, bo mówił głosem czułości: „O wysłuchaj mię pierwéj, a potém odepchnij — nienawidź, jeżeli twoje serce jest zdolne kogo nienawidzić. Julio! mój Aniele! przedewszystkiem choć raz w życiu powiedz, że mię kochasz.“ Dziewczyna wyrwała swoję rękę i cofnęła się od niego z przelęknieniem. „Nie szydź pan ze mnie,“ zawołała z godnością — „mężczyzna szanujący kobiety wtedy tylko żąda wyznania miłości, jeżeli ją myśli zaślubić.“

„Ja z ciebie szydzić Julio?“ mówił tym samym co i pierwéj głosem. „O chcę cię zaślubić — nie odpychaj mię tylko, nie uciekaj odemnie“ i złożył ręce jakby do modlitwy.

Nic dziwnego, że Julii proste serce, ślepe czystością anioła, nie zdolne do fałszu — nie przeczuwało go w drugich, a tém mniéj w tym, który jak gwiazda nowym blaskiem opromienił jéj duszę. Rozrzewniona więc jego słowy do głębi duszy, wyrzekła ze łzami: „Nie odpycham pana, nie uciekam przed nim — jabym go miała odpychać? uciekać?“ I zamilkła — potém załamawszy dłonie żałośnie kończyła: „Ale mnie pana kochać nie wolno.“

„Nie wolno?“ powtórzył młodzieniec zdziwiony. — „Pan bogaty, a ja uboga sierota.“ — „Nie bluźń! nie bluźń; czy twoje uczucie nie jest największém bogactwem dla mnie?“ I ujął znowu jéj dłonie i patrzał na te łzy szczerze płynące z serca przepełnionego dla niego uczuciem. A kiedy księżyc padł srebrnym promieniem na twarz dziewczyny, już zimną, refleksyjną rozkoszą, topił wzrok w jéj licach. I po chwili mówił do niéj głosem spokojnym: „Julio! ty mnie kochasz, te łzy zapewniają wyraźniéj, niż wszystkie słowa. Słuchaj, nasze przywiązanie musi być jeszcze tajemnicą pokryte. Ty znasz moich rodziców; dla siebie nie lękam się ich gniewu — bo czegóżbym nie zniósł dla twéj miłości: ale ciebie chciałbym otoczyć spokojem, dostatkiem, przepychem nawet, a wyznając teraz moje przywiązanie ku tobie, cofnęliby dany mi majątek. Niezadługo będzie on moją istotną własnością, a prawdziwe uczucie, osłonięte tajemnicą, czyż traci na swéj potędze?“ I czule przycisnął jéj rękę do ust.

„Jesteś więc moją narzeczoną w obliczu nieba, Julio?“ — „Jestem!“ wyrzekła uroczystym głosem. — „O będziesz nią i w obliczu ziemi.“ Dziewczyna w milczeniu uścisnęła trzymaną dłoń miłośnie, a zziębła i przejęta wzruszeniem, drżała jak cień na powierzchni wody. „Drżysz, mój aniele! Wracaj spiesznie do pokoju, szanuj swoje zdrowie, jeżeli nie dla siebie, to dla mnie; ale jeszcze mi przyrzecz, że odtąd będziesz mię nazywała Teodorem, wszak dusze nasze już zaślubione, potrzeba nam tylko formy.“ — „Do zobaczenia więc drogi Teodorze,“ i puściła dłoń jego i spiesznie jak strzała biegła ku dworowi. Rozrzewniona, zmięszana, zmęczona, wbiegła machinalnie do swego pokoiku — odpoczęła i bez poprawienia włosów wróciła do salonu. Ledwie spojrzała na zimne, uśmiechające twarze, ledwie spostrzegła już Teodora, który tańczył i prowadził rozmowę z obojętną grzecznością, a już cała rzeczywistość stanęła przed nią, i choć dusza wrzała jeszcze uczuciem, ale powierzchowność owiana tą atmosferą, zastygła, i była jak wszystkie inne. Jéj oczy spotkały wzrok Teodora, nie patrzał na nią groźnie, owszem jakiś uśmiech przebiegł na ustach, lecz uczucie do szczętu zagasło w jego licach, i upadło niby lodem na jéj serce. Cała pod tém wrażeniem machinalnie wpatrywała się w postaci, co w lotnych kręgach obiegały salon, kiedy przed nią stanął Henryk i zaprosił do walca. Zadrgnęła, jakby nagle ze snu przebudzona; on się uśmiechnął, podał ramię i puścili się w około. Po przetańczeniu postawił ją w próżnéj framudze okna, i wpatrując się w nią chwilkę, przemówił cichym głosem: „Pani ma suchy liść we włosach. Pani zziębła, drżąca — jak można tak nieszanować swego zdrowia i w zimny wieczór z gorącego salonu wychodzić na przechadzkę.“

Dziewczyna stanęła cała w płomieniach — a on odwrócił głowę, jakby tego nie dojrzał, i zaczął rozmowę o rzeczach zupełnie obojętnych. Zabawa długo w noc się przeciągnęła, a Julia choć Bóg wie z jaką walką w ser-

cu, lecz z powierzchownością obojętną, dotrwała do końca.

IV.

Drugiego dnia Teodor z Henrykiem siedzieli u stolika w kawalerskim saloniku piérwszego, i pijąc kawę, z cygarami w ustach, rozmawiali o wczorajszéj zabawie. Henryk skończył cygaro, wyjął drugie z pudełka, przyłożył do świecy palącéj się, i cały niby tém zajęty, mówił od niechcenia: „Teodorze! Ty kochasz tę dziewczynę?“

„Co za dziewczynę?“ zapytał z ciekawością. — „Juliję! Tyś wczoraj miał z nią schadzkę.“ — „To mię śmieszysz,“ odparł żartobliwie. „I cóż za występek mieć schadzkę z młodą dziewczyną, chyba ten, że ta, o którą mię obwiniasz, nie dosyć ładna.“ — Henryk dymiące cygaro wyjął z ust i z powagą spojrzał na drugiego, mówiąc: „Trzy lata, jakeśmy się poznali; ty mię znasz, ale ja widzę, że cię wcale nie znam. Już oddawna zbieram ci się powiedzieć, że wiele rzeczy u ciebie nie umiem sobie wytłumaczyć......“

„Naprzykład?“ przerwał mu Teodor z lekkością, wypuszczając z ust kłęb dymu. — „Choć i ta twoja miłość z Juliją, spóźniła jakąś intrygę, jakąś tajemnicę.“ — „Aleś dziwny! zkądże miłość, zkądże do tego przychodzisz?“ i zaczął się śmiać. — „Więc nie miałeś z nią wczoraj schadzki?“ — „No i cóż? Ale dla czego ma być zaraz miłość?“ — „Teodorze! mówmy seryo! Ją zwodzić byłoby grzéchem nie do darowania, bo ona uboga, z łaski przyjęta w dom twojéj matki, a do tego z sercem czułém i płomiennem. Wykształcenie, które nabyła pokątném czytaniem bez wyboru, nie nadało jéj siły ducha, ale rozbudziło tylko fantazyą i tkliwość tém mocniéj, że żyje wśród wszystkich jakby zapomnianą. Za lada okazaną więc przychylność jest wdzięczną, wylaną bez granic i najdrobniejsze uczucie, odpłacić gotowa najgorętszą miłością.“

„Tak pięknie wystawiasz Juliję, że aż bierze ochota być od niéj kochanym“ — odparł z lekkością. — „Ale od kiedy zacząłeś gardzić ty miłością kobiet?“ — „Żadną miłością nie gardzę, bo każda dla mnie jest świętą. Lecz myślę, że mię znasz i wiesz, iżbym się nigdy nie zniżył do kłamania uczuć.“ Te ostatnie słowa wymówił z przyciskiem, a Teodor spoglądał na niego zdziwiony tą niezwykłą cierpkością. — Henryk zamilkł, spuścił oczy, a po chwili już mówił z łagodnością: „Nie gniewaj się Teodorze, że stawam dzisiaj w stósunku do ciebie, jak guwerner do ucznia, choćby pewnie właściwiéj było, gdybyśmy role zmienili. Ale zabijać biédną istotę moralnie, to niegodne ciebie.“ — „Henryku! cóż ty wygadujesz! czy zapominasz, że ona jest pod opieką mojéj matki.“

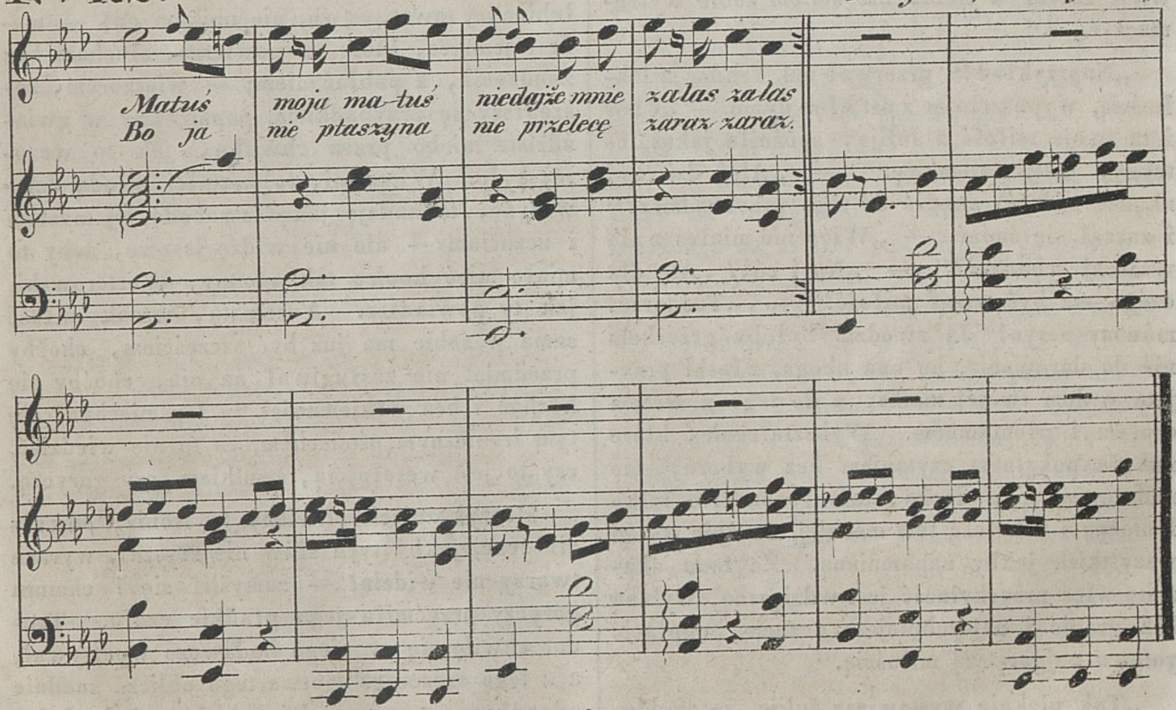
„Przez zabicie kobiety moralne, nie rozumiem koniecznie wydarcia jéj szacunku saméj siebie; — zabić kobietę moralnie można, kiedy miłość, w którą wierzyła jak w samego Boga, była kłamstwem. O wiele! wiele musi przeżyć, nim znów uwierzy co prawdą, co fałszem.“ — „Kiedy tak tę rzecz bierzesz na seryo, więc ci się wyspowiadam z moich grzechów,“ rzekł Teodor z uśmiechem. „Wysłuchaj mię, a potém daj rozgrzeszenie lub radę. Łajesz mnie, że zwodzę Julię! czy to jest uwodzić, jeżeli lubiąc jéj towarzystwo, nie unikam go; — małe tajemnice, które mi powierza, słucham bez znudzenia, z pobłażaniem; — wieczorem, zeszedłszy się przypadkiem, popatrzymy w gwiaździste niebo przez chwilkę, jak to wczoraj było. Wierz mi, to kształci młodą dziewczynę, to nadaję jakąś swobodę jéj myślom i uczuciom — ale nie widzę jeszcze, żeby to miało mieć koniec tak smutny, Werterowski, jak ty powiadasz. A zresztą, wszak miłość sama w sobie ma już być szczęściem, choćby przedmiot nie zasługiwał na nią, choćby się kochać i bez wzajemności.“ I uśmiechnął się tym ironicznym uśmiechem, co to nie wiedzieć, czy to jest wesołością, smutkiem, czy goryczą.

Henryk zniecierpliwiony tą ironią, odwrócił oczy, jakby tych słów nie słyszał, wyrazu twarzy nie widział — zamyślił się i chmura goryczy przyćmiła jego gładkie czoło. Teodor chwilę się w niego badawczo wpatrywał, a z tego szczerego i otwartego oblicza snadnie odgadł, co się w sercu działo. I znać nie chciał zatracić w jego przekonaniu dobrego mniemania o sobie, bo mówił bez uśmiechu, i jakby chciał się usprawiedliwić z téj ironii. „Już też po dzisiejszéj rozmowie nie będziesz mógł

powiedzieć, że mię nie znasz, bo doprawdy więcéj ci powiem, niżbym chciał wyznać sam przed sobą. Powiem, że to życie jednostajne u moich rodziców nudziło mię, a Julia swojém towarzystwem nie jednę chwilkę nudów rozegnała. Choć nie ładna, bez blasku powierzchownego, ale lubię jéj twarz bladą, spokojną, jakby rozkwitającą dopiéro w wdzięki pod okiem patrzącego — a jéj postępowanie proste, otwarte, bez żadnéj kokieteryi, tchnie jakąś świeżością. Nasze towarzystwo jest nam wzajemnie miłém, ale nasz stósunek nie jest jednak miłością; — widzisz więc, że Julii nie bałamucę. Lecz dość już tego, wiesz, coś chciał wiedzieć,“ kończył jakby znudzony tém wszystkiém. I podniósł się, zrzucając z siebie aksamitny szlafrok. „Weźmy flintę i przejdźmy się, bo ładnie na dworze.“ Nie długo, opięci w ciepłe surduty, z fuzyami na ramieniu, szli przez pole. Była to godzina, kiedy po mglistym i zimnym ranku, słońce choć zbladłe, ale jasne, wisiało na niebie, i oświetlało ziemię melancholicznym blaskiem jesieni, która jakby spłakana łzami świeciła kroplami stopniałego szronu. Pola puste ledwie się zielenią drobną oziminą, a wśród niéj dla myśliwego oka nie jeden kamień zdawał się zwierzyną przysiadłą do zagonu, a nie jednemu przelękłemu zającowi udało się znów, że go pominięto jak kamień. Nasi młodzieńcy chodzili od godziny milczący, Teodor puścił Henryka kilkanaście kroków przed sobą, który na wszystkie strony upatrywał zwierzyny, sam zaś zdawał się wcale nie pamiętać, że jest na polowaniu, a chmury cierpkości i nieukontentowania wisiały na jego czole, kiedy na raz Henryk wołał spiesznie: „kot! kot!“ Teodor ujął fuzyą — strzelił, ale się tylko ziemia zakurzyła, a przelęknione zwierzę zmykało ku lasowi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nº 172. *Pomykórо pod Przysuchą.*



Text do *Nru. 172.*

Matuś moja, matuś, nie dajże mnie za las, za las,
Bo ja nie ptaszyna, nie przelecę zaraz, zaraz;

Matuś moja, matuś, nie daj mnie za wodę, za wodę,
Bo ja nie rybeńka, przepłynąć nie mogę, nie mogę.

(*Wacł. z Oleska*, P. I. G. str. 124.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)